

PROLOG

Podobno o zmierzchu wszystkie koty są szare. Dunder uważał to za osobistą zniewagę. Był bowiem czarny, prawdziwie czarny, a na jego sierści nie znalazłoby się nawet najmniejszej białej łatki. Jak przystało na kota wiédźmy.

– Czarny jak noc. Czarny jak śmierć. Czarny jak smoła z najgłębszych czeluści piekieł. Czarny jak...

– Dobrze, dobrze, możesz już przestać – mruknęła Helena i nalała wody do ekspresu do kawy.

– Przygotujesz mi mleko?

– Mleko szkodzi kotom. Może prowadzić do cukrzycy.

– Nalej mi do miski, to zobaczymy, kto kogo pierwszy pokona: ja mleko czy mleko mnie.

Helena westchnęła.

– Ale tylko odrobinę.

– Mrrr, kocham cię.

– Nie podlizuj się tak.

– Mówiłem do mojego mleka.

– Wiesz, bardzo często żałuję, że nie jesteś zwykłym kotem.

– Nie ma czegoś takiego jak „zwykłe koty”.

– Zgoda, ale inne koty nie mówią.

– Może po prostu nie znajdują odpowiedniego towarzystwa do prowadzenia inteligentnej konwersacji.

– A już na pewno nie pyskują.

– Do pyskowania niezbędna jest inteligencja, a tej nabrałem dzięki karmieniu się szpakami. To jak będzie z tym mlekiem?

Wiedźma machnęła ścierką, a Dunder uchylił się leniwie. Wychłęptał postawione przed nim spienione mleko. Nie było go wcale tak mało, jak zapowiadała Helena, choć chętnie wypiłby więcej.



Helena poprawiła włosy. Były długie i piękne, w kolorze miedzi. Dunder uwielbiał zanurzać w nich pazury i mocno szarpać. Uważał to za wspaniałą zabawę. Ku jego głębokiemu niezrozumieniu Helena nie podzielała jego entuzjazmu. Mimo to uważał ją za najwspanialszego człowieka na świecie. Była w końcu jego własną wiedźmą.

– Schowaj się gdzieś. Zaraz przyjdzie Markowa z bólem głowy.

– Ta, co zawsze kicha, gdy mnie widzi? Myślisz, że ma alergię na kocią sierść?

– Wiesz, ludzie czasem mówią „a psik”, aby przegonić kota.

– Rozumiem. Chyba pójdę na mały spacer. Jestem pewien, że mam alergię na głupich ludzi.

– Dunder, przestań. Ona potrzebuje pomocy specjalisty.

– No i przecież Markowa po to przychodzi. Do kogo, jak nie do wiedźmy.

– Nie żartuj. Prosiłam cię, żebyś mnie tak nie nazywał. Jej potrzebna jest prawdziwa terapia. Albo leki. Ma jakiś głębszy problem; po śmierci męża została sama, a dzieci są daleko i rzadko ją odwiedzają. Może to depresja, a może jeszcze coś innego, ale ona twierdzi uparcie, że to starość i że pomagają jej moje zioła.

– A co jej dajesz?

– Rumianek. Z koprem włoskim. Czasem nasiona kozieradki. Żadnych cudów. Pomoże na trawienie, ale ona musi sama chcieć się leczyć. Czeka, to chyba ona.

– Czuję. Już mnie w nosie świerzbi.

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanęła starsza kobieta, ale żadna tam babuleńka w chustce, tylko elegancka pani. I nawet nie miała specjalnie smutnej twarzy.

– A psik – powiedział Dunder, przemykając między jej nogami.

Wzywał go gasnący zmierzch. Pora kotów, pora łowów. Powietrze było lekkie i pełne woni. W wysokich trawach brzmiał śpiew świerszczy.

Helena nieraz narzekała, że wykastuje Dundera i będzie trzymać go w domu, jak to się robi z kotami, i że ma wyrzuty sumienia, gdy wypuszcza go na zewnątrz. Dunder odpowiadał, że wtedy on się postara,